

Winne są media!

30 października 2012

„Z powodu medialnych kłamstw i oszczerstw przegrywamy wybory” – co i rusz huczą zwolennicy największej parlamentarnej partii opozycyjnej. Nacjonaliści stawiają sprawę dosadniej: „Jesteśmy tylko potulnymi patriotami, to „Wyborcza” robi z nas faszystów!”. Nieco zawilej rzecz rysuje się wśród części środowisk lewicowych. Tutaj antymedialne utyskiwania dotyczą raczej odwracania uwagi Kowalskiego od spraw rzeczywiście istotnych. „Mamy kryzys gospodarczy, biedę i rozwarstwienie społeczne, a media wciąż trąbią o Janie Pawle II i katastrofie smoleńskiej” – częstokroć lamentują publicyści i komentatorzy z lewej flanki. Wygląda więc na to, że jedynie obóz rządzący nie ma medialnego orzecha do zgryzienia.

Nie dziwota – liberalny pragmatyzm, owa „ideowość braku idei”, ściśle koreluje, a wręcz zawdzięcza swe istnienie wszelkim „dobrodziejstwom” społeczeństwa spektaklu. W momencie, gdy Demotywatory mają ponad 2 mln fanów na Facebooku, redaktorzy portali spoza głównego nurtu skaczą z radości, gdy liczba ta sięgnie 10 tys. (wartościowe sieciowe czasopisma rzadko jednak przekraczają barierę czterocyfrowej liczby kliknięć „Lubię to”). Jasne, że trudno wymagać od wspomnianego Kowalskiego, aby po wielu godzinach pracy miał ochotę na coś więcej niż rozrywka najniższego sortu. Póki więc w sklepie na rogu puszka Harnasia kosztuje 2,40 zł, a na Wrzucie czy Smogu można za darmo obejrzeć piersi Igi Wyrwał czy Doroty Rabczewskiej, póty Donald Tusk może spać spokojnie.

Z drugiej jednak strony pastwienie się nad Kowalskim i zarzucanie mu lenistwa intelektualnego byłoby czymś niewłaściwym – i to nawet nie dlatego, że społecznikowi/utopiście zwyczajnie nie wypada obrażać się na lud. Tenże lud – by poszerzyć pole widzenia z jednostki na ogół – po prostu wybiera to, co bardziej atrakcyjne, bliższe obiecanemu, kapitalistycznemu rajowi. Status pracownika

fizycznego skłania dzisiaj raczej do kreowania się na „klasę średnią”, a nie do epatowania mityczną robotniczą dumą. Proletariusze nie łączą się, lecz za wszelką cenę próbują wejść o szczebel wyżej w drabinie społecznej, paląc jednocześnie za sobą mosty. Każdy, kto na przystanku autobusowym słyszał utyskiwania pasażerów na „nierobów żyjących z zasiłków”, wie, o czym mowa.

Tym samym zagadnienia społeczne, które w praktyce są dużej części owych pasażerów najbliższe, zepchnięte zostały do wąskiej niszy lewicowych intelektualistów. Pół biedy, jeśli są to postaci pokroju Małgorzaty Maciejewskiej. Ta doktorantka, niczym rosyjscy narodnicy, postanowiła „pójść w lud” – zatrudniła się w specjalnej strefie ekonomicznej pod Wrocławiem, a następnie pomogła pracownikom firmy Chung Hong w powołaniu związku zawodowego, walnie przyczyniając się do strajku tamtejszego prekariatu. Za to działanie zresztą dziennikarz „Gazety Wyborczej” określił ją mianem „kreta”.

Takich pozytywnych przykładów jest jednak niewiele. Zazwyczaj prospołeczny przekaz lewicy ginie w natłoku problematyki kulturowej, która oczywiście jest istotna, ale poprzez odwrócenie prymatu bazy ekonomicznej nad jej kulturowo-seksualno-płciowymi pochodnymi te ostatnie stają się w istocie tematem bądź to zastępczym, bądź wręcz odstręczającym. Lewicowe media, owszem, wielokrotnie częściej od tych wysokonakładowych donoszą o strajkach, walkach pracowniczych, blokadach eksmisji, nadużyciach służb mundurowych i szeregu innych istotnych kwestii. Jednocześnie jednak z lewostronnych portali wyciekają – często będące w przewadze – treści dotyczące dekonstrukcji roli kobiet w amerykańskich serialach, poliamorii, problemów transseksualistów czy wreszcie coraz bardziej jałowy i nudny antyklerykalizm.

Warto w tym miejscu unieść publicystyczną gardę: krytyka antyklerykalizmu nie jest bynajmniej pochwałą katolickiej bigoterii czy obskurantyzmu, lecz jedynie spostrzeżeniem, że antyreligijna furia w wykonaniu np. Ruchu Palikota niesie ze

sobą przynajmniej dwa zagrożenia. Po pierwsze w miejscu rozbitej wspólnoty (nb. słowo to jest tytułem wielu gazetek parafialnych) religijnej często powstaje typowo liberalna pustynia, a nie – jak chcieliby tego lewicowi marzyciele – socjalistyczna wrażliwość. Oznacza to ni mniej ni więcej, że naiwna promocja ateizmu może w niektórych przypadkach oznaczać pójście w sukurs indywidualistycznemu, liberalnemu egoizmowi. Po drugie – i chyba jeszcze bardziej niebezpieczne – całokształt problematyki związanej z zagadnieniami czysto światopoglądowymi może zostać z powodzeniem przechwycony przez środowiska nastawione wobec wolnego rynku bynajmniej nie krytycznie. Znamienne, że jeden z koryfeuszy współczesnego libertarianizmu, Murray Rothbard, był zwolennikiem prawa do aborcji, a jeden z kandydatów na prezydenta USA – Gary Johnson – łączy w swym programie skrajny liberalizm w kwestiach podatkowych z aprobatą dla wszelkich swobód obyczajowych.

Obok tematyki poruszanej przez gros lewicowych mediów zastrzeżenia musi budzić także sposób prezentowania informacji. Trudno oczywiście wymagać nienaganności warsztatowej od prowadzonych zazwyczaj społecznie czasopism czy portali, skoro wpadki zdarzają się nawet medialnym gigantom i profesjonalistom. Jednak ciągłe opowiadanie o tym, że w Polsce setki tysięcy dzieci głodują, a kilkadziesiąt procent mieszkańców obszaru między Odrą i Bugiem żyje poniżej minimum socjalnego, może przekonać naprawdę nielicznych. Rzecz jasna III RP obfituje w haniebnie duże obszary biedy, ale taki sposób jej prezentacji czy krytyki niewiele wnosi do sprawy.

Nie należy jednak wyciągać stąd wniosku, że – jak stwierdziła czołowa salonowa antyfaszystka i feministka Kazimiera Szczuka – bieda jest passé. Z całą natomiast pewnością jest to temat trudny, wymagający i nierzadko odpychający. Chwalenie się zamożnością to wszak dowód życiowej operatywności, pracowitości i cnót wszelakich, a obśmiewanie nowobogackich – którego przykładem był choćby zabawny serial „Tygrysy Europy” – wciąż jest nieproporcjonalnie rzadkie w stosunku do łżenia

ubogich, wykluczonych czy mniej zaradnych.

Taka – by pozostać przy zastosowanym przymiotniku – niezaradność lewicowych mediów w mówieniu o biedzie, rozwarstwieniu i wykluczeniu społecznym jest tym bardziej zaskakująca, że środowiska prospołeczne posiadają – wypracowane przez dziesiątki lat – język, terminologię i narzędzia analityczne do ukazywania tego wszystkiego, co ukryte za zasłoną kapitalistycznej rzeczywistości. Tymczasem już sama prezentacja badań społecznych często budzi zastrzeżenia i wystawia je na krytykę ze strony sympatyków opcji wolnorynkowej. Choć socjologia jest wśród prawicowców nierzadko uznawana za naukę z gruntu lewicową, to ta właśnie lewica niejednokrotnie ją dyskredytuje.

Przykładowo przy prezentacji szacunków niedożywienia wśród dzieci w Polsce wypadałoby przynajmniej zdefiniować, czym to niedożywienie jest – czy polega ono na tym, że siedmiolatek przyjmuje jedynie 50% zalecanej dla jego wieku porcji kalorii, czy też na tym, że z powodu tanich i niepełnowartościowych posiłków otrzymuje on o 10% za mało wapnia i żelaza, niezbędnych do prawidłowego rozwoju? Nieco podobnie rzecz ma się z krytyką stopy bezrobocia w Polsce: definicja samego zjawiska jest prezentowana zbyt rzadko, przez co często ustawia lewicowego publicystę na z gruntu spalonej pozycji. Łatwo bowiem – nie wiedząc, że bezrobocie to stan aktywnego poszukiwania pracy przy jednoczesnej niemożności jej znalezienia z powodu niewydolności systemu – uznać, że te setki tysięcy to albo nieroby, którym się zwyczajnie nie chce, albo też cwaniaki, pobierające zasiłki i pracujące w szarej strefie. Przykładów podobnych niedociągnięć czy niestaranności w przedstawianiu danych statystycznych jest dużo, dużo więcej.

Wypada także wspomnieć, że problemy społeczne są pożywką dla ekstremy. Trudno o wiarygodność i atrakcyjność lewicowej krytyki kapitalizmu, która – nawet jeśli nienaganna merytorycznie – jest jednocześnie narzędziem grup niedemokratycznych. Jeśli piętnowanie wysokiej stopy

bezrobocia i zdjęcie osoby szukającej żywności czy puszek w śmietniku wylądują na stronie internetowej, która na swej winiecie ma fotografię Lenina czy innego czerwonego dyktatora, to w kraju tak silnie obciążonym komunistyczną przeszłością przynieść musi opłakane skutki dla budowania społecznej świadomości w temacie problemów natury ekonomicznej.

I choć wiele lewicowych mediów swą nieudolnością potęguje jedynie dominujący przekaz liberalny, nie brak przecież i pozytywnych przykładów w tej sferze. Niejeden niszowy serwis, zamiast standardowego utyskiwania na niski poziom debaty publicznej w Polsce, zainicjował ciekawą dyskusję na swych łamach, przyciągając do niej publicystów spoza salonu. Poza kreacją intymnego przekazu tekstowego w dobie „zwichnięcia ery Gutenberga” docenić należy także wszelkie próby ujmowania zagadnień społecznych w ramy przekazu audiowizualnego. Szereg popularnych portali, których użytkownicy wymieniają się grafikami skłaniającymi do śmiechu lub namysłu, otwiera przecież olbrzymie pole działalności propagandowej dla opcji prospołecznej. Należy stwierdzić z satysfakcją, że w Internecie krąży już sporo ciekawych rysunków i zdjęć krytycznych wobec rynkowej rzeczywistości.

Przede wszystkim jednak godnymi dostrzeżenia i poparcia są wszelkie happeningi i akcje bezpośrednie. Lewicy co prawda rzadko udaje się zmobilizować duży tłum do manifestowania, ale jej przedstawicielom nie brak przecież ciekawych pomysłów, możliwych do zrealizowania stosunkowo niewielkim nakładem sił i środków. Poznański Marsz Żebraków, wymierzony w elitarystyczną politykę prezydenta Ryszarda Grobelnego, czy happeningowe omdlenie kilkunastu osób w warszawskiej strefie kibica podczas Euro 2012 przemawiają do wyobraźni dużo lepiej niż najbardziej rozbudowana i profesjonalna analiza.

Stara łacińska maksyma głosi, że kropla drąży skałę nie siłą, lecz częstym spadaniem. Dokładnie tak rzecz ma się z budzeniem świadomości społecznej. Własne media i własny język są oczywiście niezmiernie istotne, ale najistotniejsze jest

pozostanie częścią zbiorowości. Piękny przykład dają tu poznańskie środowiska lokatorskie i anarchistyczne, które od kilku miesięcy aktywnie działa w obronie lokatorów kamienicy przy ul. Stolarskiej. Ludzie ci, prześladowani przez ekipę kamienicznika, przy wsparciu uczestników Federacji Anarchistycznej zdołali stworzyć przestrzeń inicjatyw społecznych, których uczestnicy pełnią zarazem straż obywatelską, patrząc na ręce właścicielom kamienic i policji oraz przechodząc automatycznie szkołę demokracji bezpośredniej. A że stawianie oporu wobec niesprawiedliwości to stara polska tradycja, to i powiewające tam biało-czerwone flagi w żaden sposób nie kolidują z hasłami środowiska anarchistycznego.

Autor: Piotr Kuligowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Piotr Kuligowski (ur. 1990) – ostatni socjalista utopijny, dostrzegający w utopiach czynnik rozsadzający rzeczywistość zastaną, zaś w socjalizmie dla tejże rzeczywistości alternatywę. Student na UAM w Poznaniu. Publikował w „Nowym Tygodniku Popularnym”, „Czasie Kultury” oraz w Internecie. Stały współpracownik portalu Lewicowo.pl.